Czy to się przyjmie?
Jak w to się gra?
A może to niebezpieczne?

HOKEJ na... WRÓTKACH

Bomba wybuchła nagle! Do redakcji wpadł mój znajomy i nie odsapnąwszy nawet — zakomunikował:

— Stary, wsiadaj szybko w tramwaj, zobaczysz jak na Placu Żelaznej Bramy chłopaki grają w hokeja. Nie na trawie, nie na lodzie....

Przyznaję, że wprawił mnie w osłupienie; słońce grzeje prawie jak w lipcu, a ten z tak zimową wiadomością. Ale znając go wiedziałem, że coś w tym musi być. Zaraz udaliśmy się z Kajtkiem na wskazane miejsce.

OAZA NA PUSTYNI

Tak prawdę powiedziawszy to między ulicą Graniczną, a Placem Żelaznej Bramy, nie ma miejsca do zabaw. Wolne przestrzenie wśród potężnych bloków zostały zaasfaltowane, a wszystko to swoim wyglądem przypomina trochę skalistą pustynię. Nie pozostawiono nawet miejsc na trawniki,

C. d. na str. 7

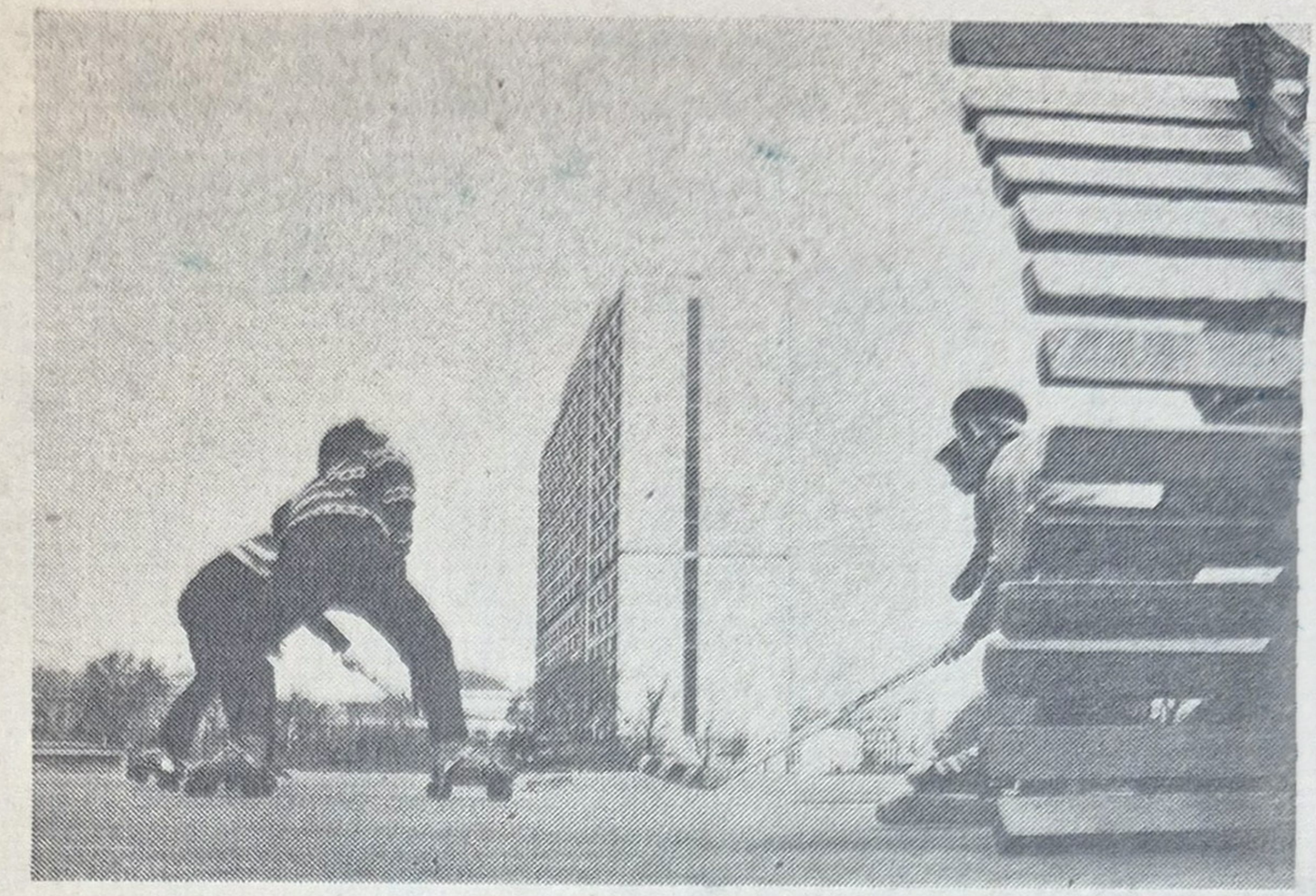

Świat MŁODYCH
GAZETA HARCERSKA

NR 38 (2238) | PIĄTEK 11 maja 1973 r. | CENA 50 GROSZY

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 WARSZAWA

PRZYGODY PODNIEBNYCH ŻEGLARZY

W KOSZU nad „DACHEM EUROPY"

O godzinie 6.39 wysokościomierz wskazywał już 2000 metrów nad poziomem morza. Ciągle wznosiliśmy się. Nasz balon, zgodnie ze strategicznymi założeniami przelotu przez Alpy, miał wzbić się pionowo nad doliną Mürren na bezpieczną wysokość powyżej 4500 metrów. Potem miały nas przechwycić pomyślne dla nas wiatry. Ale tymczasem, otaczane coraz gęstszą mgiełką, czaiły się wokół nas groźne alpejskie szczyty Jungfrau — 4158 m n.p.m. i Eiger — 3970 m n.p.m. „Czy uda nam się przeskoczyć te zęby?" — spytałem mego pilota Petera. I w tym momencie skądś z dołu pojawił się oślepiający żółty obłok. W moment później wiedzieliśmy już, że to dogania nas startujący po nas balon. W każdej sekundzie groziło zderzenie. Takie wypadki kończyły się zazwyczaj fatalnie. O godz. 6.49 oba balony zrównały swą wysokość. Płynęliśmy w powietrzu w odległości zaledwie kilku metrów. Obie załogi, zdając sobie spra-

C. d. na str. 5

SZKOŁA PIŁKARSKA „GOL"!

● KAŻDY MOŻE GRAĆ JAK LUBAŃSKI! ● WIELKA SZANSA DLA PRZYSZŁYCH MISTRZÓW! ● POPRZEZ WYTRWAŁOŚĆ — NA STADIONY ŚWIATA! ● NIE ZMARNUJ OKAZJI!

Wszystkim, którzy wezmą udział w III Wakacyjnym Turnieju Piłkarskim o Puchar „Świata Młodych", którzy marzą o karierze sportowej, o grze wśród najlepszych — dajemy dziś wielką szansę: WSPÓLNIE Z TELEWIZYJNYM KLUBEM ŚMIAŁYCH ORGANIZUJEMY SZKOŁĘ PIŁKARSKĄ POD NAZWĄ „GOL".

W każdą niedzielę rano będziecie mogli brać udział w treningu prowadzonym przez wykwalifikowanych trenerów, zobaczycie jak się szkolą najlepsze jedenastki świata, jakimi grają stylami. Sądzimy, że tej okazji nie zmarnujecie. Tak więc Telewizyjny Klub Śmiałych w niedzielę, a „Świat Młodych" — w piątek, dostarczą wam pełnych zestawów ćwiczeń i metodycznych wskazówek. Zaczynamy już dziś, zapraszamy — wraz z Włodzimierzem Lubańskim — na stronę 8.

Foto: M. Świderski

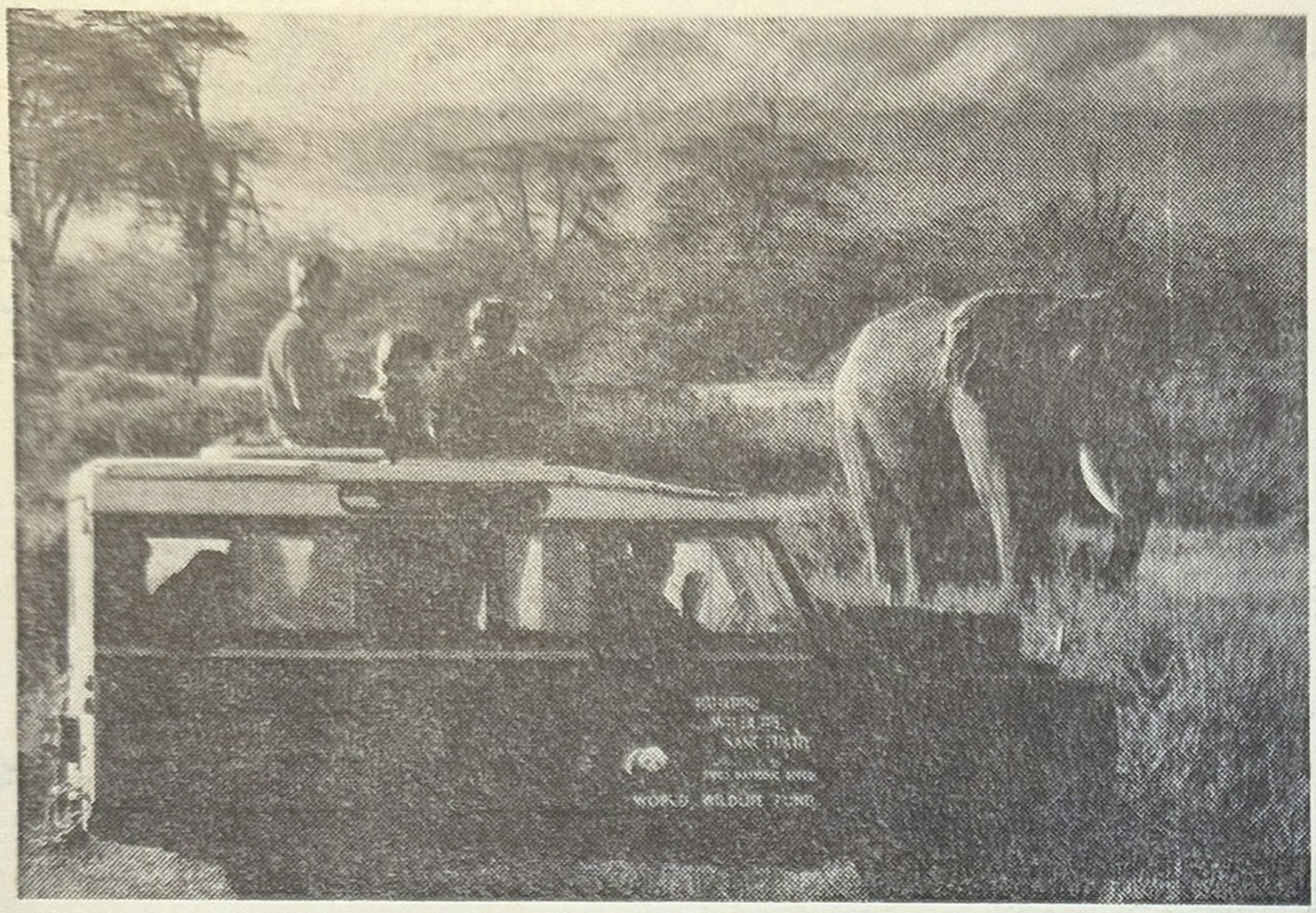

JAK WYNISZCZONO BIZONY?

Oblicza się, że gdy pierwszy biały człowiek dotarł do obszarów zamieszkanych przez bizony, pogłowie tego zwierzęcia w Ameryce było wprost niewiarygodne: ponad 100 milionów sztuk.

Bizony były zwierzętami koczującymi. Na zimę wędrowały ku południowi, milionowymi stadami przeprawiając się przez zamarzłe rzeki. Nie do rzadkości należały stada, które szły zwartą masą szerokości 40 km i ciągnęły się na długość przeszło 80 km. Według ich szlaków przemarszu topografowie wytyczali trasy kolejowe.

Ale kolej przyniosła bizonom zagładę Budowa transkontynentalnej linii ku Oceanowi Spokojnemu przyciągnęła tysiące myśliwych, awanturników, ludzi bez skrupułów. Zaczęły się wielkie polowania na bizony. W zimie 1877 roku wybito ich sto tysięcy. W ciągu zaledwie niecałych trzech lat zastrzelono 5 milionów 373 tysiące tych zwierząt. Ale to był dopiero początek. Pojawili się „wybitni specjaliści", jak np. Buffallo Bill (prawdziwe nazwisko William Cody), który w ciągu półtora roku zastrzelił 4280 bizonów. Organizowano specjalne pociągi, które po dotarciu do stad bizonów pasących się wzdłuż toru, zwalniały bieg, aby pasażerowie mogli zapolować. Odbywała się wtedy istna rzeź. Oczywiście, martwe lub ranne zwierzęta zostawiano na stepie. Zjadały je szakale. Cena zabitego bizona wynosiła w tych czasach zaledwie 25 centów; płacono je za... język.

W początku dziewięćdziesiątych lat ubiegłego stulecia bizon przestał istnieć na terenie USA jako wolne zwierzę. Na szczęście, jeszcze w 1873 roku pewien Indianin, zwany Wędrującym Kojotem oswoił małego byczka i jałówkę bizona. Dzięki troskliwej opiece nad zwierzętami, po 23 latach doczekał się stada, liczącego 300 sztuk. To było mniej więcej wtedy, gdy rząd amerykański i czynniki społeczne stwierdziły, że giną ostatnie wolno żyjące bizony. Odkupiono od Wędrującego Kojota jego stado i osiedlono w Parku Narodowym Yellowstone. Stworzono też inne rezerwaty. W roku 1933 w USA było już znów 4404 bizonów. Dziś jest ich kilkadziesiąt tysięcy. Czy to znaczy, że bizon został uratowany?

OCALMY ZWIERZĘTA!

JEŚLI wymieranie zwierząt zamieszkałych na Ziemi będzie nadal tak szybkie, jak obecnie, zostaniemy wkrótce na naszym globie sami. Co najwyżej towarzyszyć nam będą owady i szczury. Tak ostrzegają specjaliści. I zaraz przytaczają przerażające cyfry:

● Od roku 1 do roku 1800 naszej ery wytępiono 33 formy ssaków — to jest ich gatunki i odmiany. Już w 1900 roku liczba wytępionych form osiągnęła 66.

● W ostatnim pół wieku tempo to jeszcze wzrosło i ilość bezpowrotnie straconych w tym czasie form ssaków doszła do 40, a dalszych 600 jest o krok od zagłady. Przypominamy: te liczby dotyczą tylko ssaków, a nie ptaków czy innych grup zwierzęcych.

Kto dziś potrafi powiedzieć, jak wyglądały zamieszkujące kiedyś w Polsce zwierzęta: rosomak, soból czy norka? Ostatnią norkę widziano na swobodzie w 1904 roku. A tur, potężny, leśny byk, na którego polował jeszcze Jagiełło? Ostatni zginął w 1627 roku.

Ocalmy zwierzęta! — rozlega się coraz głośniej wołanie. Połóżmy kres mordowaniu ich dla pieniędzy, bezmyślnemu ich wytruwaniu, wymieraniu całych gatunków!

Przeczytajcie, do czego doprowadził człowiek i jak próbuje naprawiać popełnione błędy. Oby nie było za późno!

SARNY, ZAJĄCE, BAŻANTY

Pomiędzy rolników 13 gmin północnej Bawarii (NRF) jeszcze przed kilkunastu laty rozesłano ankietę. Ze 121 odpowiedzi na nią wynikało, że na polach tych gospodarzy w jednym tylko roku zginęło wskutek używania żniwiarek 47 sarnich koźląt, 151 młodych zajęcy, 30 bażantów, 38 kuropatw, 448 różnych piskląt oraz zostało zniszczonych 311 gniazd ptasich. Rzeczywiste straty w tym rejonie musiały być znacznie wyższe, bo nie wszyscy rolnicy odpowiedzieli na ankietę, a mieli oni razem przeszło 600 żniwiarek i kosiarek, nie licząc innych maszyn gospodarskich.

Można by zapobiec w znacznej mierze niszczeniu zwierzyny polnej, wyposażając maszyny rolnicze w proste urządzenia płoszące. Niestety, nie wszędzie starania w tym kierunku odnoszą pełny skutek.

Opracował:

JAN STYKOWSKI

PLAMY OLIWNEJ ZARAZY

Ptakom morskim — mewom, petrelom, głuptakom, maskonurom i wielu innym grozi od wielu lat straszliwe niebezpieczeństwo zwane zarazą oliwną. Dr Antonina Leńkowa, wybitna polska specjalistka w dziedzinie ochrony zwierząt dała w jednej ze swych książek budzący zgrozę obraz powstania tej „cywilizacyjnej ptasiej choroby".

Otóż — według statystyk — wyrzucane jest co dzień do mórz i oceanów około 6800 m sześc. trujących substancji chemicznych: smarów, płynnych tłuszczów i innych pochodnych ropy naftowej. Czynią to statki, głównie zbiornikowce, oczyszczając swe komory balastowe. Przed paru laty z substancji tych utworzył się na Atlantyku tak długi „pomost", że połączył brzegi Francji z Nową Funlandią w Kanadzie. Ta smuga ropy miała przeszło 3,5 tysiąca kilometrów długości i około 185 km szerokości a zniknęła dopiero wtedy, gdy fale sztormowe rozdarły ją i częściowo wyrzuciły na ląd.

Takie tłuste plamy działają dziwnie wabiąco na ptaki morskie, które chętnie krążą nad nimi, obsiadują je, nie przeczuwając niebezpieczeństwa. Z chwilą bowiem, gdy ptak zetknie się z tłustą cieczą, skazany jest nieodwracalnie na powolną śmierć z powodu tzw. zarazy oliwnej. Zaczyna się ona od tego, że ptak nie potrafi oczyścić powalanych olejem piór, rozsmarowuje go dziobem po całym upierzeniu, które skleja się i przestaje być osłoną przed wilgocią. Ptaki tracą zdolność latania i drętwieją z zimna. Gdy substancje smołowe dostaną się przez dziób do przewodu pokarmowego ptaka, występują u niego ostre nieżyty żołądka, jelit i ogólne zatrucie.

Na wybrzeżach bałtyckiej wyspy Gotlandii naliczono tylko w styczniu 1957 roku aż 30 000 kaczek lodówek, dotkniętych zarazą oliwną. Podobne wypadki mają często miejsce na angielskim przylądku Land's End. Ptaki takie zbiera się i kąpie ostrożnie w specjalnych środkach piorących, by uwolnić je od ropy, ale czy to likwiduje przyczynę powstawania zjawiska? Podpisano, co prawda, międzynarodową konwencję zakazującą wyrzucania do morza ropy i jej pochodnych, ale tylko w określonych miejscach. A więc zagrożenie istnieje nadal.

NA RATUNEK CZARNEGO NOSOROŻCA

GATUNEK afrykańskiego nosorożca czarnego jest stosunkowo najliczniejszy z pięciu żyjących gatunków nosorożców. Uważa się, że w całej Afryce żyje dziś niewiele ponad 10 tysięcy okazów czarnego nosorożca. Zostały one straszliwie przetrzebione m.in. po II wojnie światowej. Szczególne „zasługi" miał na tym polu znany „łowca" brytyjski John A. Hunter: w 1947 roku zabił aż 300, a w następnym — 400 nosorożców. Dlatego np. w rezerwacie Hluhluwe w Natalu (Płd. Afryka) prowadzi się nowoczesne badania, które mają wskazać, jaki obszar trzeba pozostawić nosorożcom, by mogły się swobodnie rozmnażać, jak często chodzą one do wodopoju, gdzie żerują itp. W tym celu z pokładu specjalnych helikopterów wstrzeliwuje się nosorożcom środki usypiające. Gdy po paru minutach „pacjent" spokojnie zasypia, specjalna ekipa wierci mu otwór w drugim (mniejszym) rogu i w otwór wmontowuje mininadajnik radiowy. Otwór zostaje „zaplombowany" mieszaniną plastykową. Bateryjka wystarcza na dziesięć miesięcy nadawania sygnałów, umożliwiających zlokalizowanie „zradiofonizowanego" zwierzęcia. Warto dodać, że polowania na nosorożce są całkowicie zabronione.

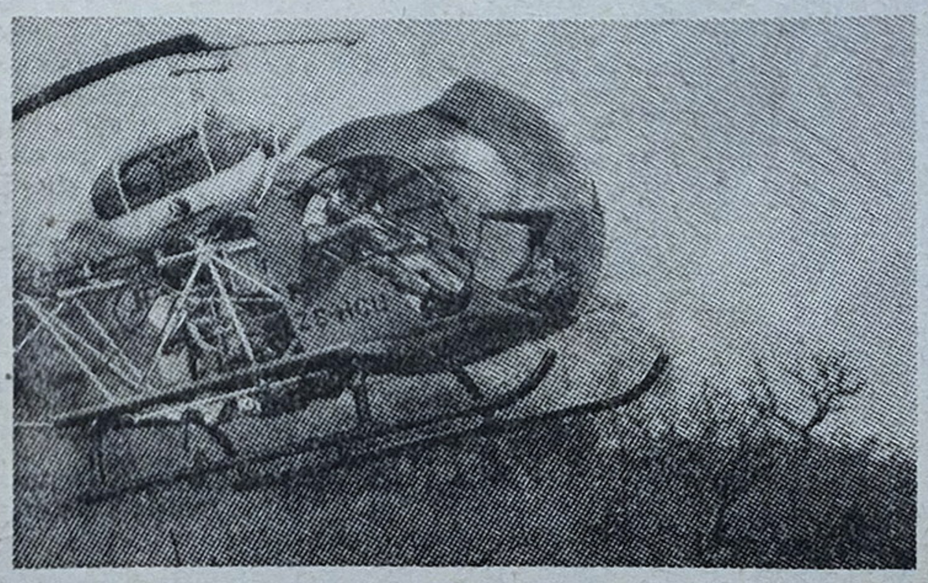

PROMIENIE SŁOŃCA PRZEMKNĘŁY PO GROMADZIE HARCEREK I HARCERZY, KTÓRZY SZLI ULICAMI, POSTANOWILI OPUŚCIĆ PRZYTULNĄ HARCÓWKĘ I SKUSZENI WIOSNĄ RUSZYLI NA RAJD. NA RAJD NIE BYLE JAKI, NA RAJD MIESZCZUCHÓW.

1

„Hu-hu!" — zakrzyknęli dziarsko — „teraz pokażemy, co potrafimy!". Nie trzeba było długo czekać na pierwszą okazję do wykazania się. Między drzewami wisiała solidna lina — jedyna droga do dalszego celu. Zahybotała się... już!

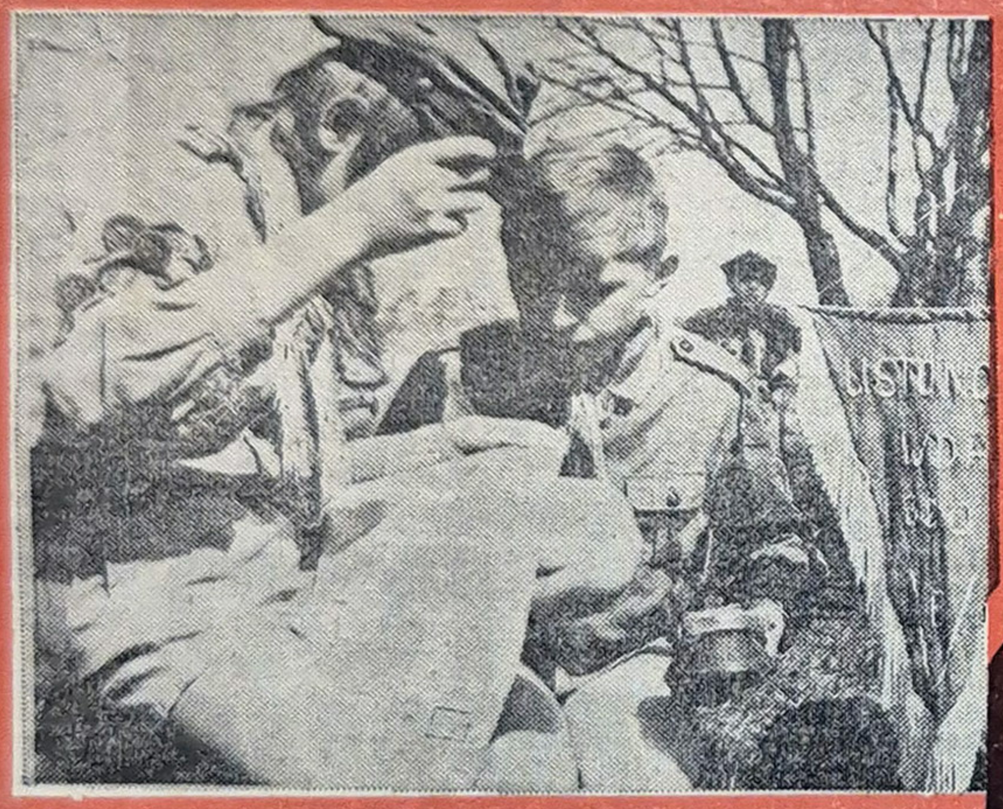

2

Nie myślcie, że „Listonosze" to jakieś gapy! Doskonale grają w hokeja, na rowerach jeżdżą niemal jak sam Szurkowski, ale igła i nitka..., oj, to już gorzej!

TEKST:
EWA KŁOSIEWICZ

FOTO:
KAJETAN ADAMOWSKI

RYSUNKI:
JERZY KOWALSKI

3

Siekiera niby rzecz zwykła i znajoma druha ze wszystkich obozów, ale poprzednie wakacje były już tak dawno temu, że naprawdę można czuć się jakoś dziko i nieswojo.

4

Piła natomiast znalazła się w ręku prawdziwych speców. Okazuje się, że są jeszcze rzeczy, które każdy harcerz, nawet mieszczuch, umie zrobić nie tylko teoretycznie.

W KOMINIE STAREJ CEGIELNI

Ta cegielnia jest już bardzo stara. I w sam raz nadaje się na podchody. Człowiek może się schować nawet do komina, a jak się dobrze zamaskuje, to nawet tysiąc szukających go nie odnajdzie.

Aż roi się tutaj od zakamarków dziwnych i przepastnych, wciąż z nową radością odkrywanych. Kto to zresztą odgadnie, ile tajemnych miejsc nie zdołała jeszcze zgłębić ludzka ciekawość?! Może najbliższe podchody będą okazją do jakiegoś, ciekawego odkrycia...

Cegielnia to jedno miejsce. Drugie, całkiem inne, także posiada swoje niezaprzeczalne uroki. Jest to Góra Harcerska ze stałym miejscem wyznaczonym na rozpalanie szczególnie uroczystych ognisk. Była już ta góra świadkiem wielu ważnych wydarzeń z życia szczepu. Tutaj odbywały się harcerskie przyrzeczenia, uroczyste przyjęcia zuchów do drużyny harcerskiej, zbiórki na powitanie wiosny.

Góra jest także znakomitym wieczornym obserwatorium. Można stąd podziwiać panoramę miasta i rozpoznawać po światełkach domy, dzielnice, ulice. Inna rzecz, że z tymi światłami są bezustanne kłopoty, bo ciągle przybywają coraz to nowe i nowe. Trzeba więc zgadywać — skąd to światło? jaki to nowy obiekt? do kogo należy ten dom? A potem umawiać się, że jutro lub pojutrze, na najbliższej zbiórce trzeba będzie pójść i sprawdzić, kto był najbliższy prawdy, kto odgadł.

*

Cegielnia i Góra Harcerska to dwa cele wiosennych wypadów szczepu harcerskiego ze Szkoły Podstawowej nr 4 w Lubaniu Śląskim.

Który zastęp, drużyna lub szczep ma podobne miejsce ulubionych spotkań? Kto je nam opisze? A może ktoś zaprosi nas na wspólny wypad?!

B. SKÓRSKA

XXXIII Liceum Ogólnokształcące im. **M. Kopernika** w Warszawie jest szkołą o poszerzonym programie języka angielskiego. Nic więc dziwnego, że właśnie jego uczniowie gościli niedawno dwóch młodych angielskich dżentelmenów, którzy przez kilkanaście dni przebywali w naszym kraju.

12-letni Edward Adams z Londynu i 15-letni Christopher Smith z Cheltenham zwyciężyli bowiem w konkursie poświęconym Mikołajowi Kopernikowi, zorganizowanym przez redakcję brytyjskiego tygodnika „Observer" i Instytut Kultury Polskiej w Londynie. Nagrodę stanowił dwutygodniowy pobyt w Ojczyźnie Astronoma. Fundatorem biletów lotniczych na trasie Londyn — Warszawa i Warszawa — Londyn były Polskie Linie Lotnicze „Lot".

Chłopcy odbyli podróż pod opieką załogi polskiego samolotu, a na lotnisku powitała ich uczennica drugiej klasy Liceum im. Kopernika — Joanna Basara. Młodzi Anglicy zamieszkali w domu jej rodziców i razem z nimi odbywali wycieczki po Polsce. Bardzo podobało im się warszawskie Stare Miasto, zwiedzili także Muzeum Narodowe i obejrzeli jeden z angielskich filmów znajdujących się właśnie na ekranach stołecznych kin.

Kilka dni spędzili na szlaku kopernikowskim, zwiedzając piękny stary Toruń, Frombork — miasto Kopernika i harcerzy oraz Olsztyn. Po drodze obejrzeli także pole bitwy grunwaldzkiej. Jak się bowiem okazało, starszy z chłopców — Chris (czyli Krzysiek)

Z WIZYTĄ W KRAJU KOPERNIKA

Oto goscie Liceum im. Mi Kopernika w Warszawie. E Adams (z lewej) i Christ Smith.

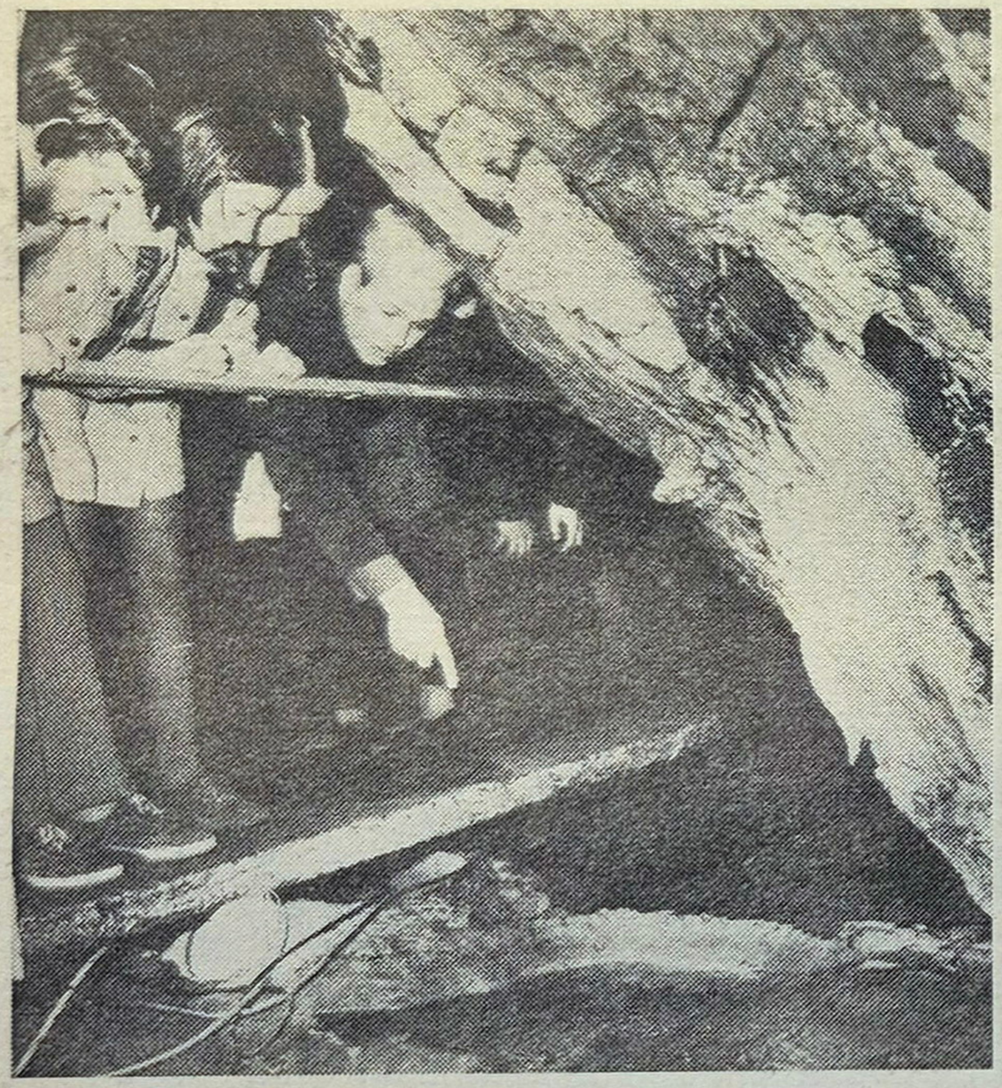

RAJ LEŻY POD ZIEMIĄ

WYPRAWA DO TAJEMNICZEGO LABIRYNTU

W malutkim hoteliku niedaleko Chęcin śpi się smacznie, wokół panuje cisza, a wiekowe drzewa rosnące nad głęboką jaskinią szeptem opowiadają niezwykłe rzeczy. Śpiący reporter nie jest pewien, czy poniższą opowieść słyszał dość wyraźnie i czy w ogóle ją słyszał...

— „Przedstawiam się tylko ludziom sennym, jestem bowiem człowiekiem nie z tej epoki, a nazywają mnie neandertalczykiem. Mieszkałem w tych stronach 40 tys. lat temu, w umiarkowanej temperaturze 10 stopni Celsjusza. Przez puszczę przebiegał nieraz Jeleń Wielki, polowałem na pieczeń z niego, a czasami na szaszłyk z mamuciej polędwicy. Był to kolejny okres polodowcowy, a ja nie zbudowałem żadnej chaty, wolałem zamieszkać w jaskini, urzekło mnie jej piękno...

Od dawna mnie tu już nie ma, przepędził mnie Czarodziej Czas, i wrócić nie mogę. Teraz do mojego pałacu wchodzi się przez nowoczesny pawilon, nie tak jednak ładny, jak moja sala tronowa, którą wkrótce odwiedzisz. Nie spotka mnie tam nikt z was, a zrozumie tylko ten, kto umiłuje te strony, szum drzew i zieloność przyrody, ciszę nocną i piękno zamarłych kwiatów z kamienia...".

Nie przewidział nasz prehistoryczny znajomy, że jego jaskinia zrobi tak wielką karierę. Wraz z grupką harcerzy chodzimy teraz po rozległych korytarzach, halach, komnatach i innych pomieszczeniach jego dawnej posiadłości. Oprowadzający nas po jaskini pan **Tadeusz Dołęgowski** twierdzi, że znaleziono tu ślady ogniska, ogryzione kości i narzędzia pierwotnego człowieka. Musiał się on stąd jednak wyprowadzić dość dawno, bowiem ślady jego obecności pochodzą sprzed 40 tys. lat.

Co to jest RAJ? „RAJ jest jaskinią posiadającą wspaniałą szatę naciekową, która została ciekawie wyeksponowana przez elektryczne oświetlenie wnętrza". Nie ja to wymyśliłem, tylko autorzy przewodnika, ale zgadza się. Jest tu rzeczywiście pięknie.

Oto komora pierwsza, Komora Złomów. Pełno w niej dużych głazów, niespotykanych w innych miejscach jaskini, a pan Dołęgowski stwierdza, że znalazły się one tu na skutek trzęsienia ziemi.

W kącie Komory Złomów pokazują nam „harfę", czyli naciek w tej właśnie postaci, dźwięczący harmonijnie przy lekkim uderzeniu... Pełno wokół stalaktytów (to nacieki zwisające z góry), stalagmitów (to te, co rosną od dołu) i wreszcie stalagnatów, czyli czegoś w rodzaju kolumn łączących strop jaskini z podłożem. Droga, podświetlona od dołu, prowadzi ciasnymi korytarzykami do małej grotki z naciekami krasowymi, przypominającymi swym kształtem... trupie czaszki! Brr...

Ale oto nasz przewodnik przyciska niewidoczny wyłącznik i następną z kolei salę — Kolumnową — zalewa światło reflektorów. Coś niebywałego! Czujemy się jak na przyjęciu u króla podziemi albo podczas uroczystości w Pałacu Kultury z okazji stulecia „Świata Młodych". Wszystko się tu skrzy i mieni. Oglądamy piękne nacieki wełniste zwane „barankami", formy grzebieniowe i grzybkowe oraz na podłodze — „pole ryżowe", czyli misy, do których skapuje powoli, przez wieki, woda zmieszana z minerałami. Te „ryżowe pola" mają kształt właśnie taki, na jaki wskazuje nazwa, są czymś w rodzaju zamarłych fal morskich czy też tarasów spotykanych w Azji. W jednej z czasz — jak je tu nazywają — rewelacja na skalę światową — perły jaskiniowe! Podobno występują tylko w trzech miejscach na świecie...

Nasza wędrówka dobiega kresu, w końcu tylko 240 m liczy ta część jaskini, którą udostępniono publiczności. Inna jej część nie jest jeszcze zabezpieczona i należy do naukowców prowadzących tam intensywne badania.

My zaś wkraczamy do najpiękniejszej części podziemi. Jest to Sala Stalaktytów. Nigdzie nie ma ich tyle, co tutaj: na 1 m

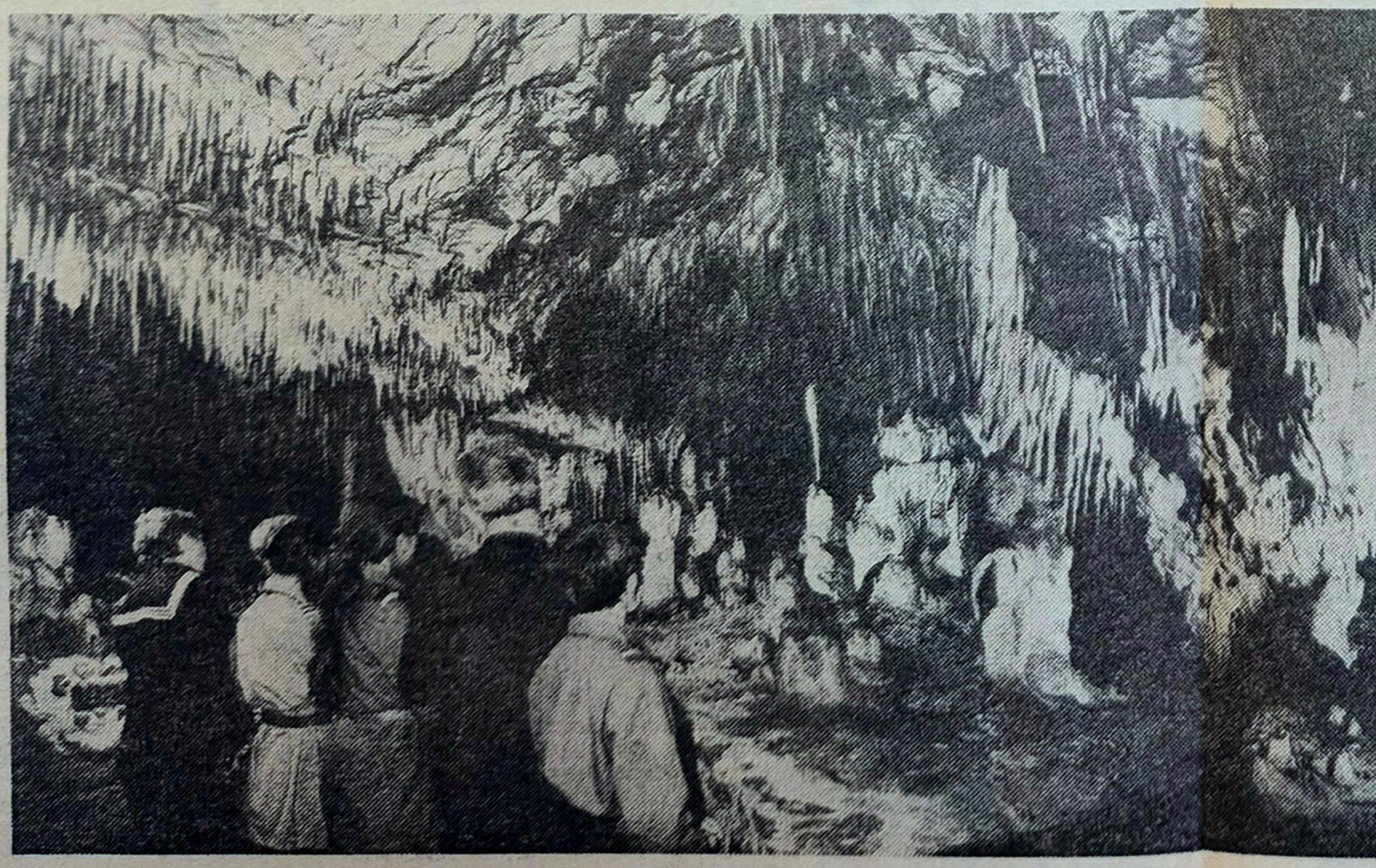

jest zapalonym historykiem. Obydwaj zbierają znaczki pocztowe; polskie znaczki bardzo im się podobają.

Jadąc do Polski bardzo mało wiedzieli o naszym kraju. Niektóre zwyczaje były dla nich prawdziwym zaskoczeniem. Ogromnie się na przykład dziwili (Edward zanotował to nawet w prowadzonym przez siebie dzienniczku), że w miejskich autobusach i tramwajach sami pasażerowie, przez nikogo nie pilnowani, kasują bilety! Zaskoczyło ich także, że ludzie kopią trawniki nie będące ich prywatną własnością... A właśnie trafili na dni wielkich wiosennych porządków we wszystkich polskich miastach.

Spotkanie w Liceum im. Kopernika odbywało się oczywiście bez tłumacza, ponieważ brali w nim udział uczniowie swobodnie mówiący po angielsku. Wśród nich obecna była laureatka konkursu zorganizowanego dla warszawskiej młodzieży licealnej — Mariola Kruk, uczennica I klasy Liceum im. Kopernika.

kołaja
dward
topher

Angielscy goście opowiadali o konkursie, w którym oni sami brali udział. Ocenili go jako trudny, gdyż musieli w dziennikarski, atrakcyjny sposób przedstawić epokowe znaczenie odkrycia Kopernika oraz wystąpić w roli wielkiego uczonego, by udokumentować jego teorię.

Przy okazji opowiedzieli trochę o swoich szkołach i ubraniach, jakie tam obowiązują uczniów. Co do długości fryzur (sprawa ta była u nas do niedawna tematem zatargów uczeń-szkoła) stwierdzili zgodnie, że u nich panuje w tej materii całkowita swoboda!

Rozmowa zeszła także na temat polskiej kuchni... Młodym Anglikom szczególnie smakowały konfitury robione przez mamę Joanny, a Edward postanowił nawet zawieźć do Londynu kilka słoików polskiego dżemu śliwkowego...

Tekst i foto: A. G.

kwadratowy przypada 200! Turyści, a bywa ich kilka tys. dziennie, wymyślają najgroźniejsze nazwy dla ciekawszych form: jest tu „noga słonia", jest „pagoda", „maczuga neandertalczyka" i tym podobne. W tej najwyższej (8 m) sali znaleziono właśnie ślady ognisk, a widok usprawiedliwia pobyt pierwotnego człowieka właśnie w tej części jaskini — miał chłopak gust!

Oszołomieni widokami, zamilkli wobec piękna, wychodzimy z podziemi do poczekalni — pawilonu specjalnie dla zwiedzających przy wyjściu jaskini zbudowanego. Uf... to było przeżycie.

*

Jaskinia ma wprawdzie parę ładnych milionów lat, ale dla współczesnego człowieka istnieje właściwie od roku 1963, kiedy to dwaj okoliczni rolnicy zaczęli tu wykopywać wapień dla potrzeb gospodarskich i natknęli się na szczelinę w skale. Ale za prawdziwych odkrywców RAJU uważa się uczniów Technikum Geologicznego w Krakowie — Bałuka, Bochajewskiego, Łuckiego i Pucka, którzy w roku 1964 wybrali się tu już z poważną wyprawą naukową, jaskinię odkryli w całej jej okazałości, zrobili szkice i pierwsze oznakowanie przejść. Dopiero później RAJEM zainteresowali się archeologowie i geolodzy, aż wreszcie Wojewódzki Ośrodek Sportu i Wypoczynku do zwiedzania przysposobił. Wstęp jest niestety drogi — 10 zł i nie wiedzieć czemu — nie stosuje się tu żadnych ulg dla wycieczek i młodzieży szkolnej.

No, to by było tyle o RAJU, reszty dowiecie się na miejscu. Aha, jeszcze jedno: niektórzy twierdzą, że prymitywny człowiek nadal tu bywa. Nie może to być jednak nasz znajomy, bowiem choć jaskiniowy, nie był jednak człowiekiem na tyle prymitywnym, by niszczyć swój dom. Ci natomiast, którzy korzystają z nieuwagi przewodnika i próbują ułamać coś na pamiątkę (a jeden centymetr stalaktytu rośnie w ciągu stu lat), to naprawdę dzicy ludzie, i to w najgorszym tego słowa znaczeniu...

R. GAŁUSZKA
Zdjęcia: K. Adamowski

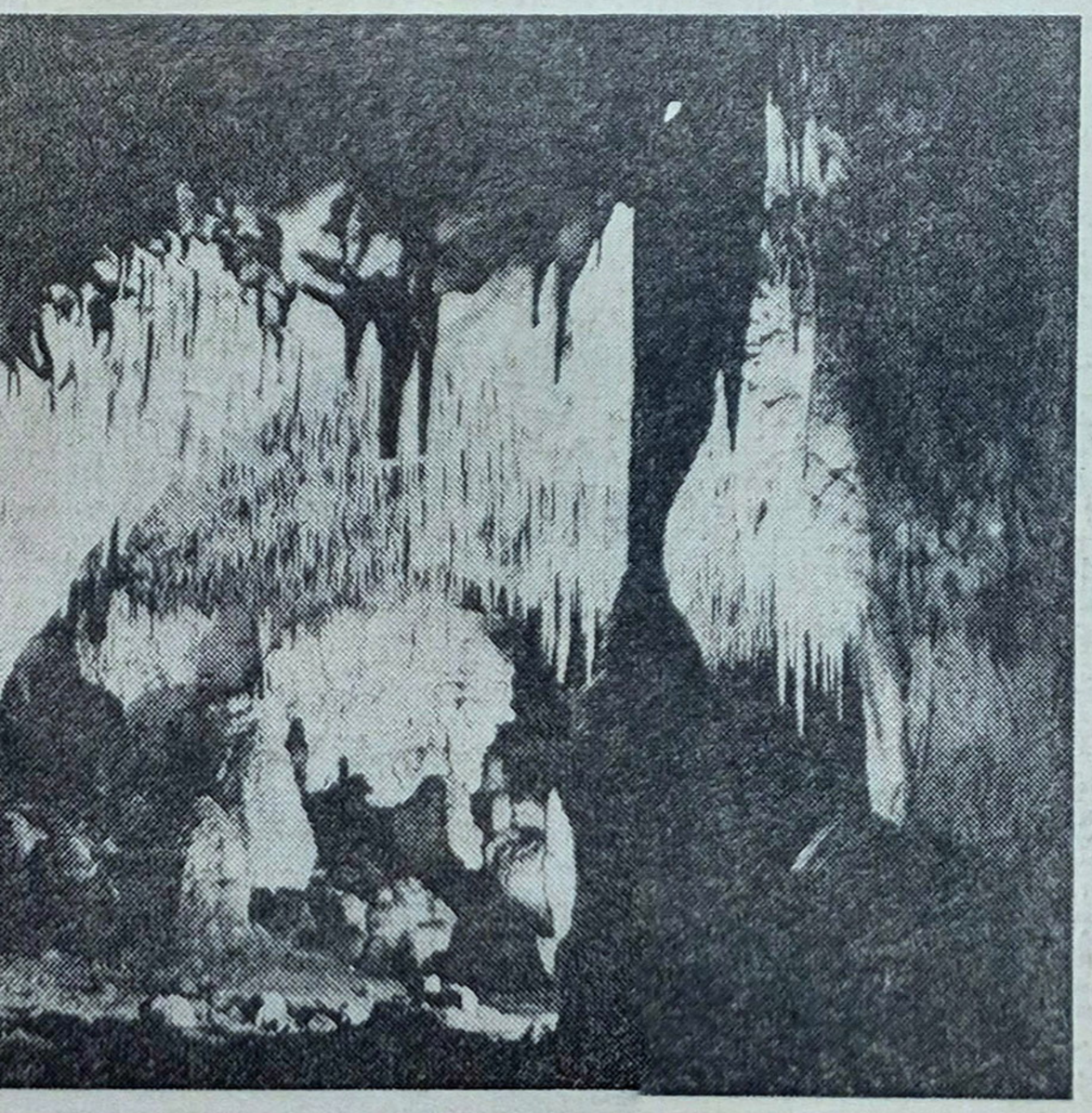

Ciąg dalszy ze strony 1

W KOSZU nad „DACHEM EUROPY"

we ze swej bezsilności, zaciskały palce na krawędziach plecionych gondoli. W minutę później oba balony rozeszły się. Nas zniosło na południe, naszych rywali — na północny wschód. Jeszcze jedna osobliwość żeglowania na balonach...

PUŁKOWNIK KRAUER OSTRZEGAŁ

Tak właśnie opowiada o swoim pierwszym przelocie balonem nad Alpami Marc Jasinski, belgijski chemik z wykształcenia, poszukiwacz przygód z powołania. Jasinski — doskonały płetwonurek — brał już udział w podwodnych eksperymentach francuskiego badacza Cousteau, poszukiwał amfor w jeziorach Pirenejów, penetrował brzegi Irlandii za skarbami legendarnej „niezwyciężonej armady". Potem był członkiem karawany, która w bojerach na kołach przejechała przez Saharę. Jeszcze później Marc wybrał się z etnograficzną ekspedycją do Iranu. Dziś znalazł się w balonie wśród szczytów najwyższych gór Europy. Oddajmy mu jednak głos.

— ...Obok mnie znajdował się w koszu-gondoli pilot — Peter Pellegrino. Mężczyzna pięćdziesięcioletni, lata od lat dwudziestu, na balonach — od dziesięciu. Ma za sobą 80 startów. Lata... to niezbyt odpowiednie słowo. Bo już o godzinie 6.53 nasz balon po prostu stoi w powietrzu. Dopiero wyrzucenie woreczka z piaskiem podrywa nas na wysokość 4250 m i tu wiatr zaczyna nas gnać ku włoskiej granicy. Ale jeszcze nic nie wiadomo. Przed startem szwajcarski pułkownik Krauer ostrzegał: — Panowie, nie wykluczone jest lądowanie wysoko w górach. Bądźcie też przygotowani na to, że możecie odmrozić sobie nogi na lodowcu, spowodować wybuch balonu zaczepiając o linię wysokiego napięcia koło Turynu lub utonąć w wodach jeziora Como...

PROSTO W „DIABELSKI PALEC"!

Tymczasem dolatują do nas z Ziemi niezwykle dokładnie słyszalne odgłosy. Oto gdzieś na skalistym zboczu oderwał się kamień i z łoskotem spada w dolinę. Ze świstem zagłębia się pociąg w Tunelu Simplońskim. W chwilę później słyszymy dokładnie szczekanie psów. Załoga balonu, w przeciwieństwie do pilotów samolotu „słyszy Ziemię" bez pomocy radia. Ale my mamy w swej plecionej z witek wierzbowych gondoli również radiostację.

Marzniemy. Znosi nas wyraźnie ku południowi. Wysokościomierz pokazuje 4600 metrów. I w tym momencie czujemy, że wiatr niesie nas prosto na Point-Dufour, najwyższy punkt w Alpach Szwajcarskich — 4655 metrów. Za chwilę możemy beznadziejnie nadziać się na ten „diabelski palec"!

Drżącymi rękami odwiązuje Peter sznurki worka z balastem. Szybciej, szybciej, zrzucaj! Kiedy woreczek znika za burtą gondoli, jakby winda podniosła nas do góry. 5000 metrów — „diabelski palec" pod nami! Jest godzina 8.40.

Oszołomiony wysokością Peter chwyta z radości butelkę szampana, przeznaczoną na szczęśliwe lądowanie. Ale szampan na tej wysokości ma chyba siłę dynamitu, płyn wypryskuje z butelki do ostatniej kropli. Jemy śniadanie: kanapki, jajka, ser. Najgorsze — chyba za nami.

MARC OTWIERA WENTYL

Okazało się, że lądowanie wcale nie będzie takie bezpieczne. Kiedy bowiem po godzinie dziewiątej znaleźli się wreszcie nad Włochami — w dolinie rzeki Pad zalegały chmury i mgła. Co robić? Zasady sportu balonowego zabraniają lotów przy tak słabej widoczności. Załodze zabrania również dalszego lotu kontrola obszaru z lotniska w Mediolanie, w strefę którego właśnie wlecieli. Cóż, trzeba lądować. I to nie gdzieś na dnie doliny, gdzie można trafić na przewody trakcji kolejowej, kominy fabryczne, wysokie budynki — tylko tu, gdzie jeszcze są góry.

O godzinie 11.04 wypuszczają część gazu i z szybkością 50 metrów na minutę opuszczają balon na pobliskie zbocze porośnięte zagajnikiem. Gdy od zbocza dzieli ich już tylko 70 metrów Peter Pellegrino wyrzuca linę, która ma hamować ruch gondoli i osłabić jej upadek. Ale w tym momencie silny poryw wiatru szarpie balonem. Marc i Peter wpadają na siebie. Marc błyskawicznie zrywa się i po drabince z liny jak kot wdrapuje się do wentyla. Jedno pociągnięcie, syk i... cisza, bezruch, spokój. Do kosza gondoli zaglądają niskie drzewa, a powłoka balonu ściele się wśród zieleni.

W pięć godzin później obaj dotarli na własnych nogach do pierwszych siedzib ludzkich, skąd mogli zatelefonować do Mürren i zawiadomić o pomyślnym lądowaniu. Ludność miejscowa — twierdzą zgodnie Marc i Peter — witała ich prawie jak kosmonautów.

Oprac. JAN STYKOWSKI
Ilustr. M. Teodorczyk

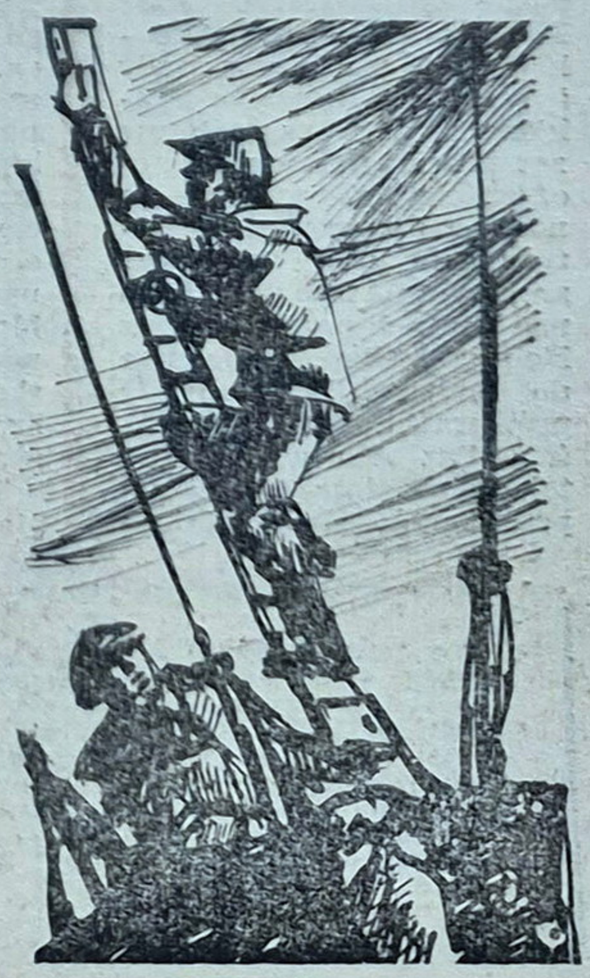

Ilustr. Anna Węgrzyn

WIDMO w zamku KERMOAL

Willa „MEWA"

Bez Atu długi czas stał jak wryty. W ten sposób dzięki poszlace, do której nie przywiązywał zbytniej uwagi, trzymał w ręku koniec nitki, która może wkrótce doprowadzi go do prawdy. Nieznajomy bił się z Heinrichem. Bez wątpienia zarówno jeden, jak drugi usiłowali zagarnąć złotego konika. Ale jaka była w takim razie rola Van der Troosta? Czy osłaniał machinacje swego szofera? Czy nic o nich nie wiedział? Czy znał rannego? I jak to wszystko wiązało się z Kermoalem? Odpowiedź na tyle pytań była niemożliwa.

Ale można zawsze zacząć od najprostszego, to znaczy wypytać o Holendra i jego szofera. Wyglądało na to, że po burzy pogoda się poprawia. Nic łatwiejszego, niż pojechać rowerem do Porspoder i odszukać tam willę „Mewa".

Bez Atu miał pełną głowę projektów. Wygra tę partię samodzielnie. Jak? Pilnując Heinricha! A dokładniej, śledząc wyjazdy i przyjazdy bentleya. Takiego auta nie sposób nie zauważyć. Nie chodzi oczywiście o gonienie za nim na rowerze, ale o odtworzenie jego wędrówek zręcznym wypytywaniem na lewo i prawo. Przez Heinricha Bez Atu dotrze do rannego, który będzie próbował chyba się zemścić. Bez Atu wydrze mu tajemnicę złotego konika i prawdopodobnie dowie się za jednym zamachem dlaczego ten drugi koń, niewidzialny, nawiedza Kermoal. Tak, miał w ręku najlepszą kartkę: młodość. Przed nim nikt nie będzie się miał na baczności.

Teraz płonął z chęci działania i cierpiał męki ukrywając swe podniecenie. Poszedł do garażu, gdzie Jean-Marc kończył naprawianie swego samochodu. Twarz miał pomazaną, ręce zatłuszczone.

— Nie mógłbyś otrzeć mi czoła? — zapytał. — Wyjmij mi chusteczkę z kieszeni... Dobra, dziękuję. Prawie skończyłem. Zapłon zupełnie wysiadł.

— Nie było sabotażu?

— Nie. To poczciwe pudło jest tak wysłużone, że znajduje się w stanie ustawicznego sabotażu.

„Powiedzieć mu! Nie mówić? — zapytywał się w duchu Bez Atu. — Najbliższy mój kumpel. Brat. Powinienem powiedzieć".

Jednakże nie mógł się na to zdobyć. To była „wyłącznie jego sprawa". Ojciec był zupełnie taki sam, kiedy podejmował się trudnej obrony. Było niemożliwością wyciągnięcie z niego jakiejkolwiek informacji. Nawet uśmiechu. Poza tym Bez Atu nie chciał narażać Jean-Marca na jakieś niebezpieczeństwo. Co można wiedzieć? Wreszcie, i to była główna przyczyna, Bez Atu nie był w nastroju do dyskusji. Jean-Marc miał fatalny zwyczaj widzenia rzeczy pod trochę innym kątem. Trzeba by wyważyć wszystkie za i przeciw. Nie. Za późno!

Ten obiad chyba nigdy nie nadejdzie! Jean-Marc, zazwyczaj taki energiczny, guzdrał się w garażu. Stary Jaouen też się nie spieszył. Bez Atu kręcił się bez celu, nakazywał sobie spokój, lecz kątem oka śledził wskazówki zegara.

Wreszcie wszyscy zgromadzili się przy stole. Rozmowa krążyła wyłącznie wokół podróży państwa Robion, zatłoczonych dróg, wypadków, zimnej jak na tę porę roku aury. Grubo przed deserem Bez Atu ujawnił swój zamiar wyjazdu na rowerze, ale tonem tak obojętnym, że nikomu nie przyszło do głowy wypytywać, nawet Jean-Marcowi nieustannie zaabsorbowanemu swoim samochodem. Bez Atu musiał jedynie obiecać Marguerite, że wróci na długo przed przybyciem rodziców... Po prostu malutka przejażdżka dla odświeżenia płuc po długiej paryskiej zimie. Oczywiście będzie uważać i nie będzie jechać za szybko.

Wreszcie znalazł się na drodze lub raczej na wojennej ścieżce. Ścieżce zresztą ładnie ukwieconej aż do Porspoder. Tu zaczęły się trudności. Zapytana w sklepie sprzedawczyni naradza się z klientką: „Mewa"... zaraz, zaraz... czy to nie willa przy końcu miasteczka?" Wywiązuje się dyskusja. Następują próby lokalizacji. Na prawo trzeba skręcić, czy na lewo? Raczej na prawo, jeśli stanąć twarzą do morza... Bez Atu usiłuje wtrącić słówko.

— Tam mieszka jakiś Holender z ogromnym bentleyem.

— Z czym ogromnym?

— Angielskim autem w szarym kolorze.

— Tak, tak! Angielski samochód... To na pewno ten jegomość z „Kormorana".

— Nie, tamten mieszka w „Mewie".

W tym sęk, że „Rybitwy", „Kormorany", „Mewy", „Petrele" spotyka się tu na każdym kroku. Bez Atu przekonuje się, że najprostsze posunięcie wymaga ogromnej cierpliwości i przebiegłości. W końcu właściwą drogę pokazuje mu listonosz.

Willa Van der Troosta stoi jakieś pół kilometra za miasteczkiem. Jest to duży dom, na pół ukryty w sosnowym lesie. Kryjąc się za drzewami Bez Atu podchodzi jak można najbliżej. Od „Mewy" dzieli go już tylko ścieżka i wysoki na jakieś dwa metry mur, który wydaje się otaczać całą posiadłość. Sosnowy las porasta niewielki pagórek. Dalej wzrok odkrywa podjazd, główny budynek mieszkalny, a na lewo długi budynek z okienkami i czteroskrzydłowymi na krzyż drzwiami, jakie spotyka się w stajniach.

Bez Atu wspiął się na sosnę. Tak, to stajnia! Heinrich w koszuli przechodzi przez podwórze z dużą wiązką słomy. A więc tam jest koń! Jaki?

Szofer wchodzi do środka. Bez Atu wyciąga szyję. Dałby nie wiem co, żeby rzucić okiem do stajni. Nagle słyszy głuche odgłosy, jakby jakiś spłoszony koń miotał się zamknięty. Nachodzi go szalona myśl, że Van der Troostowi udało się schwytać konia-widmo poprzedniej nocy i że w zamęcie jeden z jego służących, ugodzony kopytem, został wyeliminowany z walki... Co sądzić wobec tego o złotej końskiej statuetce...

W każdym razie u Van der Troosta jest koń. Nie jest to chyba koń pod wierzch. Jak się ma takiego bentleya!... Ale przede wszystkim Holender jest za gruby. Poza tym, u licha, niedawno przyjechał. I co? Tak od razu postarał się o konia? Nie. Jest w tym coś nielogicznego, coraz bardziej niepokojącego.

Heinrich znów się pojawia. Idzie pod pompę umyć ręce, wyciera je chusteczką od nosa, zapala papierosa, potem podchodzi do budy, której Bez Atu nie zauważył. Odwiązuje wspaniałego alzackiego owczarka! Pies natychmiast puszcza się w podskokach głośno ujadając a Bez Atu instynktownie przywiera silniej do swojej sosny. Wie, że wilczury mają doskonały węch, a nie chce, aby pies go odkrył. Lecz pies go nie wywęszył; biega wokół szofera, puszcza się w pogoń za wyimaginowanymi kamieniami. Jednym słowem, w „Mewie" panuje dobry nastrój. Potem pies skacze do drzwi domu. Wspina się na tylnych łapach, radośnie ujada, a kiedy Van der Troost wreszcie się ukazuje, następuje istny szał powarkiwań, cmokań, wesołych zmagań. Ale ta familijna scenka nie bawi Bez Atu. Przybył tu przecież jako detektyw, a wilczur nie ułatwi mu zadania.

Na szczęście szofer na znak Van der Troosta wchodzi do domu, wraca zapinając kurtkę, a radość psa rośnie. Towarzyszy Heinrichowi w podskokach. Szofer otwiera drzwi stajni, którymi niegdyś zapewne przejeżdżał powóz właściciela i wkrótce bentley staje na podjeździe. Pies znajduje się już w samochodzie. Będzie brał udział w przejażdżce. Rzeczywiście. Van der Troost siada obok szofera i samochód sunie do bramy. Heinrich wysiada z wozu, otwiera ją, następnie starannie zamyka.

Dom wydaje się pusty. Nie pozostaje nic innego, jak tam pójść. Dotąd szczęście sprzyja Bez Atu. Ale nie należy przedwcześnie głosić zwycięstwa!

Bez Atu wysunął się z lasku na drogę. Stwierdziwszy, że brama jest dla niego za wysoka, poszedł wzdłuż muru na prawo, ponieważ z tej strony ogrodzenie biegło bliżej środka posiadłości, a Bez Atu wolał dla ostrożności skrócić jak najbardziej drogę. W niektórych miejscach mógłby przesadzić mur, ale wolał jeszcze dalej posunąć swój rekonesans. W ten sposób dotarł na tyły posiadłości. Tu mur jest naprawdę zniszczony. Kamienie się wykruszyły. Bez Atu już się nie wahał. Wykorzystując zagłębienia i występy wspiął się dość łatwo na mur. Jeszcze ostatni podrzut ciała. Gotowe!

C. d. n.

Ilustrował BOGDAN ZIELENIEC

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. RED. Nacz. JERZY MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji — 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA I SPORTOWA" RSW „Prasa, Książka, Ruch", Warszawa, ul. Bagatela 14. Dyrektor Wydawnictwa, tel. 28-09-73. Dział Wydawniczy, tel. — 29-35-52. Biuro Ogłoszeń — Warszawa, ul Bagatela 14, tel. 21-21-29. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa, Książka, Ruch". W-wa ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4,30, kwartalna zł 13,00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać można również na konto PKO Nr I-1-100020 — Centrala Kolportażu Prasy Wydawnictw „Prasa, Książka, Ruch" W-wa, ul Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Prasa, Książka, Ruch" Warszawa, ul. Wronia 23, konto PKO I-6-100024. Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych, na uprzednie pisemne zamówienia, prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Prasa, Książka, Ruch", Warszawa, ul Towarowa 28. Adres redakcji: Mokotowska 24 00—561 Warszawa. Niezamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Numer indeksu — 35039.

Zam. 1909. R-95

Wznowienie gry; sędzia rzuca piłeczkę na pole gry. Ale takimi kijami grać nie można. Ani to bezpieczne, ani wygodne.

C. d. ze str. 1

HOKEJ na... WROTKACH

skwery; karłowate drzewka nieśmiało wychylają się z małych, nie zalanych asfaltem okienek. Tylko wiatr w jakimś obłędnym tańcu hula wśród wysokich domów niczym w tunelu aerodynamicznym.

I oto na tej „pustyni" ujrzeliśmy „oazę" życia. Gromadka chłopców grała w najprawdziwszego hokeja. Ze zdumieniem przyglądamy się z Kajtkiem szybkim zagraniom, wspaniałej jeździe na.... wrotkach, strzałom, efektownym paradom bramkarzy. Po chwili orientujemy się, że w tej grze obowiązują podobne przepisy, co w hokeju na lodzie. Nawet sędzia udziela 2-minutowych kar zawodnikom, którzy popełniają faule.

CZY TYLKO „ORLIKI" I „HURAGANY"?

Podczas przerwy w grze przeprowadzamy błyskawiczną rozmowę z zawodnikami.

— Sami już nie wiemy, który z nas wpadł na pomysł rozgrywania hokejowych meczów na wrotkach — mówi Mariusz Jankowski, kapitan drużyny „Orlików". — Zaasfaltowane place nie pozwalają na grę w „nogę"; niebezpiecznie, ślisko... Już w roku ubiegłym organizowaliśmy pierwsze mecze. Mamy dwie drużyny: „Huragan" i „Orliki"; na razie tylko między sobą rozgrywamy spotkania. Nie wiemy nawet, czy jesteśmy jedynymi zespołami w Warszawie. Może w innych dzielnicach, w innych miastach też się w to chłopcy bawią.

Zawodnicy ponownie wyszli na płytę boiska. W bramkach, czyli odwróconych ławkach, zajęli miejsca bramkarze. Najmłodszy z całej paczki Piotr nie ma jeszcze wrotek, ale i tak uczestniczy w zabawie jako sędzia. Właśnie daje znak do rozpoczęcia drugiej tercji.

Dzisiejszy mecz zakończył się sukcesem „Huraganu". Wczoraj było odwrotnie. Zresztą wynik wcale nie jest ważny. Przedsiębiorczym chłopakom można tylko pozazdrościć, pogratulować pomysłu i... pójść ich śladami.

WOŁAMY DO WAS!

Hokej z osiedla za Żelazną Bramą ma niewątpliwie wiele zalet; trening na wrotkach jest wspaniałą zaprawą przed pierwszym wyjściem na lód. Wrotki są także doskonałe dla zawodników biorących udział w „Złotym Krążku" „Świata Młodych". Nie jest już nikomu dziś tajemnicą, iż czołowi łyżwiarze świata, w sezonie letnim pokonują na nich setki, tysiące kilometrów.

Nowa gra nie ma żadnego opracowanego regulaminu. Wiadomo jednak, że nie można używać w niej krążka kauczukowego. Uderzenie krążkiem lub kijem w niezabezpieczone ochraniaczem ciało może spowodować urazy. Piłeczka też nie bardzo nadaje się do gry. Może więc lepszym będzie krążek z lekkiego drewna? A jakie mają być: boisko, bramki, kije? Skąd je wziąć? W jaki sposób, na jakiej zasadzie opracować przepisy gry? Jakie stosować zabezpieczenia?

Napiszcie do nas. Podzielcie się swoimi propozycjami. Może na terenie kraju istnieją inne zespoły hokeja na wrotkach? Czekamy na zaproszenia! Chętnie przyjedziemy, porozmawiamy. Być może, iż doczekamy się nowej dyscypliny sportowej.

Z. PRZYBYŁOWSKI
Foto: K. Adamowski

Niełatwo jest na dużej szybkości utrzymać piłeczkę na łopatce hokejowego kija. Najważniejsze jest, że nowa gra daje wiele emocji i satysfakcji.

CZYTAMY I POLECAMY

W DOLINIE MUMINKÓW

CHCIAŁABYM zachęcić wszystkich czytelników „Świata Młodych" do przeczytania mało u nas znanej książki fińskiej pisarki Tove Jansson pt. „W Dolinie Muminków". Z tego cyklu ukazały się następujące tomiki: „Lato Muminków", „Zima Muminków", „Opowiadania z Doliny Muminków". W tomiku „W Dolinie Muminków" autorka przedstawia życie trollów (fantastycznych istot występujących w baśniach skandynawskich). W państwie trollów panuje miłość i przyjaźń, nie ma złości i nienawiści. Nastrój książki jest pogodny i serdeczny. Głównym bohaterem jest Muminek, który wraz ze swymi przyjaciółmi przeżywa wiele ciekawych przygód. Wszystkie te przygody odbywają się dzięki czarodziejskiemu kapeluszowi. Wielkim plusem książki są rysunki wykonane przez autorkę. Spodoba się ona na pewno wszystkim tym, którzy lubią książki fantastyczne, ale jednocześnie zawierające głęboką prawdę o życiu i o ludziach. A taką właśnie książką jest „W Dolinie Muminków". Książka dobra jest na chandrę.

Przyjemnych chwil przy czytaniu życzy TERESA JANIAK

SPRÓBUJ ROZWIĄZAĆ

Kombinatka

11 wyrazów czteroliterowych o poniższych znaczeniach wpisać do prawej części diagramu. Następnie przed każdym z nich dopisać niżej podane przedrostki trzyliterowe tak, aby powstało 11 wyrazów siedmioliterowych. Trzecie litery wyrazów siedmioliterowych, czytane z góry na dół, utworzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów czteroliterowych:

1) los, położenie, sytuacja, 2) przyczepka motocyklowa 3) zdobi czapkę, 4) cienka żerdź, 5) piosenkarz amerykański. który występował w Polsce albo... zdrobniałe imię żeńskie. 6) zdradziecka broń, 7) nie jeden w hucie, 8) grzyb niszczący drzewo, 9) arena sianokosów, 10) kolejka, kolejność. rzut, 11) sznur.

A oto litery do dopisania:

ANI — CAC — GON — KRW — KRY — OZI — RAC — ROZ — SMA — ŚLE — TEK.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru, pod adresem redakcji z dopiskiem na pocztówce: „Kombinatka". Do rozlosowania: BONY KSIĄŻKOWE

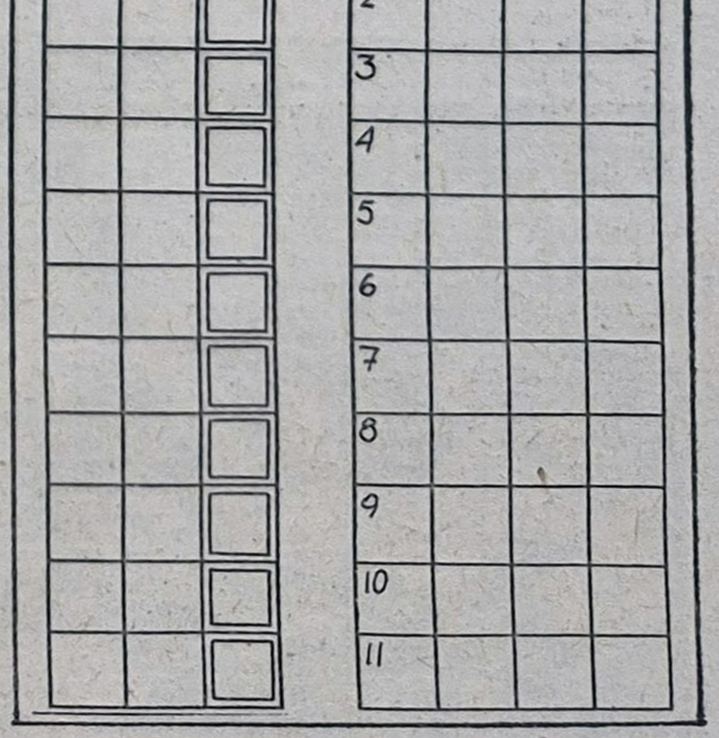

SZKOŁA PIŁKARSKA

„GOL" - 1

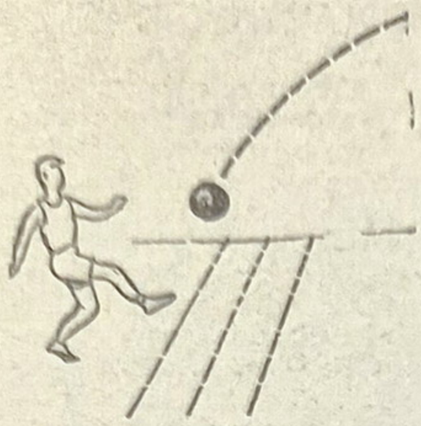

Z anim przystąpimy do właściwego treningu pamiętajcie, że:

- **odbywać się będzie w dwu grupach wiekowych: młodsza — do lat 13, starsza powyżej 13 lat;**
- **inny będzie trening dla grupy młodszej, inny dla starszej. Zawodnicy młodsi trenować będą w trampkach, piłką od siatkówki i grać na boisku o wymiarach 20 m × 40 m (bramka 2 m × 3 m). Chłopcy starsi mogą trenować w trampkotrepach lub w butach piłkarskich, piłką nożną, grać na boisku o pełnych wymiararach 75 m × 105 m;**
- **czas gry w grupie młodszej nie może być dłuższy aniżeli 2 × 25 min;**

Każdy trening rozpoczynamy krótką rozgrzewką: swobodne biegi, gimnastyka, odbijanie piłki — stanowią przygotowanie organizmu do wysiłku. **Bez przeprowadzenia rozgrzewki, 10—15-minutowej, nie wolno przystępować do zajęć!**

UDERZENIE PIŁKI

Uderzenie wewnętrzną stroną stopy należy do najbardziej precyzyjnych, choć nie najsilniejszych, zagrań. Polecamy je szczególnie początkującym zawodnikom.

Najsilniejszą zagrywką jest **uderzenie piłki podbiciem prostym z ziemi** (rys. 1) i **z powietrza** (rys. 2). Ćwiczymy tę drugą zagrywkę w ten sposób, że jeden z partnerów rzuca ręką piłkę na nogę kolegi, ten z kolei stara się dokładnie odbić ją do rąk rzucającego.

PROWADZENIE PIŁKI I STRZAŁY NA BRAMKĘ

Nie jest wcale łatwo prowadzić prawidłowo piłkę po murawie. Dlatego też w swoich treningach musicie sporo czasu poświęcić temu elementowi gry. Pamiętajcie jednak o dwu zasadach: **najlepiej piłkę trzymać tuż przy nodze i na ziemi.** Wówczas możecie panować nad sytuacją; w każdej chwili zaskakująco strzelić, oddać piłkę partnerowi lub ograć przeciwnika. Polecamy najpierw swobodne prowadzenie piłki po linii prostej, później można wykonywać skręty, zwroty. Strzelanie na bramkę rozpoczynamy piłką leżącą, później może być ona zagrywana przez partnera. Strzelać należy z różnych miejsc, pod różnym kątem. Odbicia piłki wykonywać również różną częścią stopy. Zasadą przy zdobywaniu umiejętności strzeleckich jest trenowanie strzałów w określony punkt bramki. Nigdy nie będziecie skutecznymi napastnikami jeżeli wasz strzał nie zostanie odpowiednio „zaadresowany".

Pytania tygodnia:

1. Jakie są zasady odgwizdywania przez sędziego pozycji spalonej?

2. Czy ten przepis obowiązuje na własnej połowie boiska?

Odpowiedzi prosimy kierować pod adresem: **Telewizyjny Klub Śmiałych, P-35, 00-950 — Warszawa, z dopiskiem na kopercie „Gol".** Prawidłowe odpowiedzi wezmą udział w losowaniu cennych nagród.

Jeżeli macie jakieś pytania, problemy, zwracajcie się listownie pod wskazany wyżej adres. **(zp)**

Redaguje
WŁODZIMIERZ LEWIŃSKI

Cześć!

Tajemniczy „Kuba" przysłał mi kolejny epokowy wynalazek.

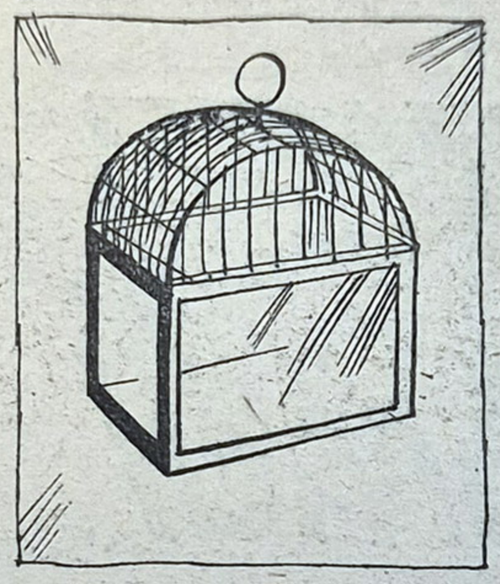

To jest „klatko-akwarium" umożliwiające domową hodowlę ryb l a t a j ą c y c h.

* * *

Beacie Semadeni dziękuję za pieska „Rzepka". Jest strasznie kudłaty i bardzo sympatyczny. Ma o g o n, co dla mnie jest szczególnie ważne!

Dziś poczęstuję Was porcją anegdotek:

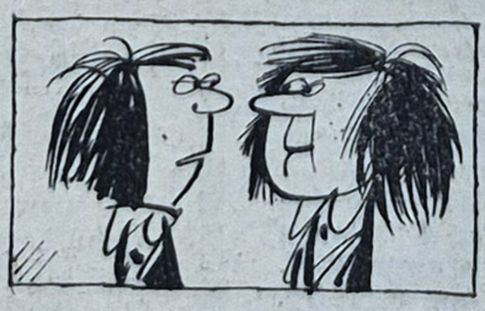

— Wiesz, ważyłem się wczoraj w łaźni. Ważę 60 kilo.
— Brutto czy netto?
— Jak to rozumiesz?
— No, przed myciem, czy po...

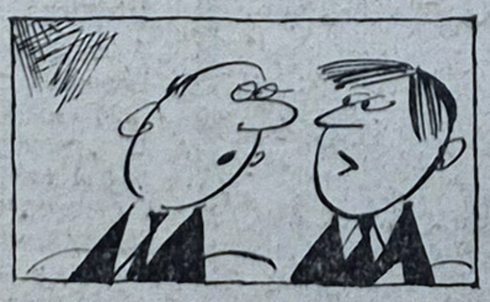

— Czy nie uważa pan, że w tej sali jest bardzo zła akustyka?
— Nie czuję, mam katar...

Wyszperał Jacek Grenda

Pozdrawiam Was serdecznie i czekam na listy

Wasz RZEP

Rys. **Włodzimierz Lewiński**

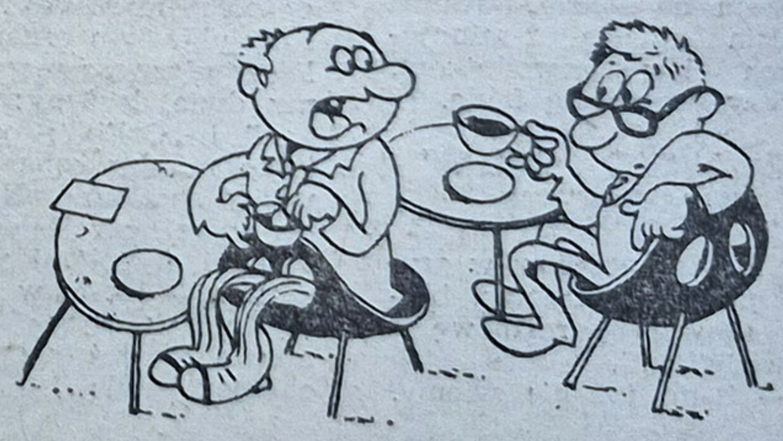

— Podobają mi się te nowoczesne meble, a panu?
Wyszperał Jerzy Redman

— A to namiot dla wartownika...
Rys. W. Lewiński